

Niedługo portfele dostaną wzdęcia

10 maja 2009

Każdy wolny człowiek ma prawo do obrony owoców własnej pracy przed rozbójnikami rodzimego i zagranicznego chowu. Taką ochronę ludziom wolnym powinien zapewnić system polityczny.

System taki miał chronić w obliczu rozochoconych cudzoziemskich zbójcerzy oraz rodzimej śruby niesprawiedliwości i ucisku. Od zarania dziejów, świat pełen był ludzi, którzy, widząc nagromadzone efekty czyjegoś znoju, chcieli je sobie przejąć na własność.

Taka kradzież, choć ryzykowna, pozwalała w krótkim czasie, na skróty, dojść do majątku. Stąd były wojny i niepokoje, dlatego trzeba się było zbroić i układać z mocniejszymi, którzy czasem za cenę regularnej daniny odstępowali od łupienia.

W taki sposób, w naszym samowystarczalnym gospodarstwie zorganizowanym na ugorze wykarczowanej puszczy, pojawiły się podatki.

Od zamierzchłych czasów człowiek odkładał część efektów pracy na czarną godzinę; w spiżarniach magazynowano zboże i wędzone lub solone mięsa, w kuferkach zbierano klejnoty i złoto, z którymi można było uciec i kupić niemal wszystko.

Aby kogoś okraść, trzeba było go napaść, czasem nawet zabić. Były to metody gwałtowne i nieprzyjemne. Dlatego co sprytniejsi zaczęli wymyślać sposoby, jak by tu takiego prostego woja czy kmiecia pozbawić majątku w sposób finezyjny, bez gwałtu i krzyku, w bardziej bezpieczny sposób.

Jedną z pierwszych metod było psucie pieniądza. Fałszowano wybity pieniądz na różne sposoby, a to waga była nie ta, a to stop zachachmęcony, jedni królowie psuli drugim, bo to aby

okradać bez konieczności wkładania ręki do kieszeni czy wypraw wojennych.

W miarę jak Europa się bogaciła, złota przybywało, kieszenie obrywało, sakwy stawały coraz cięższe, napady na podróżnych częstsze, pojawiło się pole do popisu dla bankierów, którzy w miejscu A przyjmowali nasze złoto, po to by w miejscu B oddać z powrotem po potrąceniu małego „podatku od bezpiecznej podróży”. Z czasem złota w ogóle nie wydawano, bo ludzie zadowolili się posługiwaniem jego odpowiednikiem w postaci wystawianych kwitów. Wciąż jednak istniało przekonanie, że gdyby doszło co do czego, to bankier kwity wymieni na kruszec i sumiennie odda.

Bankierzy wkrótce zorientowali się, że naprawdę złoty interes jest dopiero na obrocie samymi kwitami. Można je drukować „na krzywy ryj” nawet wówczas, gdy wcale nie mamy w zanadru złota. By w ten sposób za prawdziwe i jak najbardziej wymierne efekty czyjejs pracy zapłacić papierem, który mógł, ale nie musiał mieć równowartości w zdeponowanym majątku.

Czyli – prosto mówiąc – kupowali prawdziwy majątek za drukowany papier, który – gdy przyszyłoby co do czego – był właśnie tylko papierem, można było sobie z niego zrobić skręta z machorki.

Stąd właśnie od wielu pokoleń bankierzy zdali sobie sprawę, jak ważne w biznesie odbierania innym ludziom efektów ich pracy jest kontrolowanie i manipulowanie emisją pieniądza.

Tak oto dotarliśmy do czasów współczesnych...

Gdy ty kontrolujesz emisję – to inni choćby wychodzili ze skóry, i tak się nie wymkną z twych łapsk i za te kilka marnych procent będą pracować na ciebie i twoje dzieci. Jeszcze tylko musisz na wszystkich wymóc, by pod groźbą sankcji karnej musieli posługiwać się twoim pieniądzem i żadnym innym. Dlatego w Ameryce po różnych zmaganiach państwo straciło prawo do emitowania waluty i czyni to całkiem

prywatna grupa ludzi i całkiem prywatny bank.

W założeniu to właśnie państwo powinno strzec nas przed złodziejami w białych kołnierzykach, którzy czekają na okazję, aby manipulować targowiskiem weksli i udziałów w przedsiębiorstwach, naganiaczami, którzy naiwnym oferują różne piramidki finansowe.

Słowem, państwo powinno stać na straży naszego majątku. Od tego płacimy na policję i wojsko, aby zbój nie przyszedł w środku nocy i nie zabrał nam efektów naszego mozołu, od tego mamy prawo i regulacje finansowe, by banda oprychów i spryciarzy jednym stuknięciem w klawisz komputera nie pozbawiła nas oszczędności całego życia.

Niestety, spryciarze już dawno temu zyskali wystarczający wpływ na elity polityczne, aby zaprząć je w swoje przewałki i bezszelestnie pozbawiać obywateli części efektów ich pracy. Dlatego państwo zgodziło się na „sprywatyzowanie” emisji pieniądza, pozbawienia dolara jakiegokolwiek oparcia w kruszcu, a obecnie zgodzi się zapewne na elektroniczne „emitowanie” pieniędzy w celu zasypywanie dziur wygryzionych w gospodarce przez globalnych oszustów piramid finansowych.

Oczywiście pozbawi to nas oszczędności i napełni kieszenie tych co zawsze.

W ten sposób po krótkiej przerwie ponownie mamy czasy „feudalne”, w których kasta panująca doi poddanych ile wlezie, już nie przy pomocy wymuszeń „szeryfa”, lecz bezszelestnego przelotu elektronicznego pieniądza.

Historia nie jest dobrą nauczycielką, co pokolenie lub dwa musimy się uczyć od zera, bo traktujemy przestrogi starszych jak bajania o złym wilku. Ci, którzy dzisiaj planują ten inflacyjny skok na kasę, zdają sobie sprawę, że takie czasy to żyzna gleba dla Robin Hooda.

Ludzi można okradać, ale z czuciem. Kiedy zachłanność wygrywa,

okradany zaczyna wierzgać.

Ponoć inflacja – według wielu mądrych głów – jest jedynym wyjściem z obecnego klinczu konsumpcji na kredyt; dlatego niedługo zacznie się medialna „sprzedaż” tego pomysłu.

Po to abyśmy zbytnio nie wierzgali, gdy portmonetki dostaną wzdęcia od niestrawnych banknotów.

Autor; Andrzej Kumor

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)